

PRACA nad sobą

Treści zeszytu 11, marzec 1999

WOLNA WOLA CZŁOWIEKA WOBEK WSZECHWIEDZY BOŻEJ

Bóg wie wszystko. Czasem się dodaje „wie wszystko, co było, co jest i co będzie”. I wtedy powstaje dla niektórych problem. Jeśli wie wszystko, to znaczy, że wie też czy będę zbawiony czy potępiony, czy umrę dobrą śmiercią czy złą, czy w ciągu życia będę Go kochał, czy też się Go zaprę. Jeśli zna wszystkie wydarzenia to zna zarówno wszystkie przeszłe moje dobre uczynki, jak i grzechy. Nie mogę postąpić inaczej niż On z góry wie. Niektórzy dochodzą więc do przekonania, że wszystko jest już z góry zaplanowane, że nie mam żadnego wpływu na swoje zbawienie lub potępienie. Powiadają czasem, że jeśli jesteśmy na dobrej drodze, jeśli mamy nadzieję na zbawienie, to możemy tylko dziękować Bogu, że nas na tej zbawiennej drodze, a nie na innej umieścił. Ba, ale i na chwalenie Boga nie mamy wpływu - powiadają inni. Bóg wie już w tej chwili czy Mu będziemy wdzięczni, czy Go będziemy chwalić czy nie. Trzeba się pogodzić z tym, że nic nie jesteśmy w stanie uczynić oprócz tego, co Bóg wie, że uczynimy. On też od początku wiedział, czy się z tym pogodzimy czy nie. Taki pogląd nazywamy teorią *predestynacji*. - absolutnego przeznaczenia. Niektóre wyznania religijne, również chrześcijańskie w mniejszym lub większym stopniu ten pogląd przyjmują. Całkowicie wyklucza on wolną wolę, tym samym czyni nas niewinnymi wszystkich naszych złych uczynków, zaś Boga uznaje za sadystę, który karze ludzi za złe postęпки, których nie

mogli nie popełnić, za złe słowa, których nie mogli nie wypowiedzieć i za złe myśli, których nie mogli nie pomyśleć. W takim ujęciu Bóg nie jest ani dobry, ani sprawiedliwy.

Nauka Kościoła Powszechnego jak również chrześcijańska wiedza duchowa uczy nas, że Bóg jest jednocześnie wszechwiedzący, nieskończenie dobry i miłosierny oraz idealnie sprawiedliwy. Jak dwie ostatnie cechy pogodzić z pierwszą? To pytanie nurtowało wielu chrześcijan od czasów pierwszych ojców kościoła, aż do dziś. Czasem usiłowano ograniczyć nieco Bożą wszechwiedzę, aby zdobyć przestrzeń dla Jego dobroci i sprawiedliwości. Była to droga dość niebezpieczna, zawężająca możliwości Najwyższej Istoty. Czasem więc stwierdzano, że sprawy Boże są dla człowieka niepojęte i najlepiej przestać o tym myśleć. To ostatnie wyjście nie jest błędne i może nas nauczyć pokory, nie mniej rozum współczesnego człowieka potrafi rzucić przynajmniej promień światła i na rozważany tu problem.

Można go dziś oświetlić następująco. W rozumowaniu przedstawionym na początku ujęliśmy w cudzysłów frazę „*wie wszystko, co było, co jest i co będzie*”. Ta fraza jest bowiem sformułowana niepoprawnie. Jest w niej ukryta myśl, że istnieje jakieś „*teraz*”, które ma istotne znaczenie również dla Boga, że dla Niego istnieje jakaś przeszłość i jakaś przyszłość. Inaczej mówiąc, ujmujemy tu Boga jako istniejącego w czasie, co jest istotnym błędem teologicznym. Bóg nie istnieje ani w przestrzeni ani w czasie, lecz właśnie On, ponadczasowy dał byt przestrzeni i czasowi. Wszystko, co istnieje, istnieje w Bogu. To czas istnieje w Nim, a nie On w czasie. On będąc sam poza czasem również go obejmuje, przenika, tak jak przenika wszystko co stworzył. I tylko w tym sensie w jakim mówimy, że Bóg jest wszędzie: w kamieniach, w wodzie, i w powietrzu, możemy powiedzieć, że jest również w czasie. Ale tak jak nie jest ograniczony właściwościami minerału, cieczy czy gazu, tak samo nie jest ograniczony właściwościami czasu.

Jeśli to pojmimy, wtedy możemy też pojąć, że Bóg w stworzonym przez siebie czasie umieścił również przez Siebie stworzonego człowieka i że Sam mając wolną wolę obdarzył go również wolną wolą jako największym skarbem. Można to też określić tak, że Bóg zamiast uczynić człowieka niewolnikiem Swojej woli, podzielił się nią z nim. Ale człowiek żyjący w czasie, tylko w czasie może się tą wolą posługiwać, w przeciwieństwie do Stwórcy, którego wola jest pozaczasowa.

Można by to jeszcze ująć tak: Bóg przygląda się temu, jak się naszą wolną wolą posługujemy i nie dlatego już teraz widzi te nasze postęпки, które my odczuwamy jako należące do przyszłości, że je sam tak ukształtował, ale dlatego, że ogarnia cały czas, że widzi już teraz przyszłość każdego z nas, która w istocie zależy od nas. Ale takie ujęcie w dalszym ciągu zawiera stwierdzenie kryjące pułapkę że Bóg „*już teraz widzi*”. Nie należy tak mówić, bo dla Boga nie ma „teraz”, nie ma terażniejszości ani przyszłości, bo on nie żyje w czasie.

Chyba najbliższym naszego, ludzkiego zrozumienia choć może w sensie filozoficznym i teologicznym nie zupełnie ściśle, można tę sprawę przybliżyć następująco: Mam ja i każdy z nas wolną wolę, która w przeciwieństwie do woli Bożej może działać tylko w czasie. Podstawowy zarys ewolucji świata jest ukształtowany bezpośrednio przez Boga lub przez współdziałające z Nim hierarchie anielskie. Naszym zadaniem jest formować, zapełniać według naszej woli szczegóły w tym ogólnym zarysie, zwłaszcza szczegóły dotyczące przyszłości ludzkości jako takiej oraz przyszłości osobistej każdego z nas. I w *chwili obecnej* nie wiadomo zupełnie w jakim kierunku pójdzie wolna wola innych ludzi, ani w jakim moja własna wola, nie wiadomo jak się potoczą losy ludzkości i każdego z nas, bo to zależy od wolnej działalności nas samych i naszych bliźnich. Przy końcu ewolucji ziemskiej, przy podsumowaniu naszej działalności, które nazywamy Sądem Ostatecznym, i dopiero wtedy, będzie wiadomo, jak się ukształtowała całość biegu historii ludzkości do której się

przyczyniał każdy z nas i wtedy będzie wiadomo, kto zamieszka w Nowej Jerozolimie, a kto będzie musiał pójść drogą wśród „*zewnątrznych ciemności, gdzie będzie płacz i zgrzytanie zębów*” (Mateusz 8;12). Również Bóg *wtedy* będzie wiedział, jak użyliśmy naszej wolnej woli. Różnica polega tylko na tym, że my będąc ograniczeni czasem musimy na chwilę sądu ostatecznego czekać, zaś Bóg może przeżywać chwile czasu, dla nas będące przeszłymi lub przyszłymi w kolejności, w jakiej chce. On jest obecny w każdym miejscu przestrzeni i w każdej chwili czasu.

brat Paweł

JAK ŻYĆ FRANCISZKAŃSKIM UBÓSTWEM WSPÓŁCZEŚNIE

Wielu synów świętego Franciszka zadawało sobie i zadaje to pytanie i nie od razu znajdują oni na nie właściwą odpowiedź. Być może, że nawet znajdują ją, ale nie zawsze harmonizuje ona z odczuciami ludzi tak zwanych „z zewnątrz”, którzy wyobrażają sobie nieco inaczej owo ubóstwo. Czy na przykład posiadanie osobistego komputera (ale dla pożytku innych ...) narusza franciszkański ślub ubóstwa? Czy korzystanie z samochodu jest jawnym pogwałceniem tego ślubu? Czy wykorzystanie INTERNETU dla „propagandy” Bożej chwały jest nadużyciem ślubu ubóstwa?

Wydaje mi się, że nie można udzielić jednoznacznej odpowiedzi na te oraz inne pytania dotyczące franciszkańskiego ubóstwa. Przy ich rozwiązywaniu trzeba bowiem uwzględnić kilka ważnych elementów, które nadają sprawie mniej lub bardziej pozytywne lub negatywne zabarwienie. Weźmy na przykład czołową postać XX-wiecznego rzymskokatolickiego franciszkanizmu - św.

Maksymiliana M. Kolbego. Gdybym nie wiedział kim był, co robił i co chciał jeszcze zrobić, ale tylko słyszał z drugich ust o bogatym (jeszcze w latach 30) zapleczu technicznym Niepokalanowa: najbardziej nowoczesnej maszynie drukarskiej, rozgłośni radiowej, doskonale rozwiniętym kolportażu *Rycerza Niepokalanej*, a nadto że marzył mu się samolot dla realizacji planów w owym czasie, to byłbym bardzo oburzony. W jaki sposób - mógłbym zarzucić - temu franciszkaninowi, który ślubował żyć w ubóstwie jak jego Zakonodawca przyszło to, że dysponuje tak wieloma i kosztownymi środkami? Gdzie jego ubóstwo? Jeżeli chce być prawdziwym franciszkaninem, za jakiego się uważa, powinien natychmiast zrezygnować z tego wszystkiego, przywdziać połatany habit i zacząć kwestować o chleb na ulicach miast.

Mimo iż dysponował tak szerokim warszatem technicznym, Maksymilian nie przestawał być wiernym synem świętego Franciszka. W jaki sposób? Z prostej przyczyny. Dla Maksymiliana wynalazki techniki, których używał w swojej pracy apostołskiej nie były celem samym w sobie. Były one przede wszystkim i wyłącznie środkiem w służbie dla Boga i dla człowieka. W sposób zbliżony do myślenia Franciszka, Maksymilian nazywał otaczające go rzeczy braćmi i siostrami. Tych relacji „rodzinnych” nie odnosi wprawdzie, jak Franciszek, do Słońca czy Księżycy, ale do maszyny drukarskiej czy motoru, które nazywał „braćmi”. Doświadczył bowiem ich szczególnej „dobroci” przy drukowaniu „*Rycerza*” - dobrej nowiny o kochającej ludzi Matce Bożej. „W podartym habicie najnowocześniejszym samolotem” - było dewizą Maksymiliana. Chociaż dysponował wieloma materialnymi dobrami i środkami technicznymi, jego uwaga nie zatrzymywała się na nich. Zatraskany był o dobro, wieczne szczęście człowieka i do realizacji tego celu chciał użyć wszelkich możliwych w owym czasie środków.

Z postawy Maksymiliana nauczyć się można kilku prawd odnośnie do franciszkańskiego ubóstwa.

Po pierwsze, że nadal ono obowiązuje. Nie można go zanegować, odrzucić w niepamięć lub ośmieszyć mówiąc, że skoro czasy się zmieniły, to i o franciszkańskim ubóstwie należy zapomnieć. Przeciwnie, musi ono nadal niepokoić, zadawać niewygodne pytania i być wyzwaniem. Wola Franciszka było bowiem, aby bracia byli „minores” - mniejszymi od najmniejszych, aby byli ubogimi wśród ubogich i by się solidaryzowali z pozbawionymi wszelkich praw.

Po drugie, Franciszkowego ideału ubóstwa nie należy odczytywać dosłownie. Trzeba pamiętać, że Franciszek obrał ubóstwo nie dla samego ubóstwa. On chciał być ubogi, ale tylko dlatego, że Jezus Chrystus, Boży Syn i nasz Odkupiciel był Ubogim. To Chrystus był dla Franciszka wezwaniem do pójścia drogą ubóstwa i do wielkiej jego miłości. Dla Świętego ubóstwo było więc drugim obliczem Miłości, najlepszą formą ewangelizacji, najbardziej czytelnym znakiem oddania się Bogu i drugim. Materialny niedostatek czynił go wolnym od wszelkich ziemskich przywiązań i gotowym do pójścia tam, gdzie posyłał go Bóg i szukania z Nim największej jedności. Jego postawa przypominała ubogiego mnicha z pewnego opowiadania. Oto ono:

Na świętej górze znajdowało się wiele klasztorów. Wielkie były bardzo bogate, natomiast małe - bardzo biedne.

Pewnego dnia mnich z klasztoru małego wybrał się do współbrata z klasztoru dużego, bo chciał się pożegnać przed daleką i uciążliwą pielgrzymką na południe. Mnich bogaty zdziwił się, że pielgrzym zabiera ze sobą tylko kubek i miskę: kubek na wodę, miskę - aby użebrac po drodze trochę jedzenia. Potem wyznał, że sam planuje również wyprawę na południe i od lat czyni ku temu przygotowania, ale brakuje mu jeszcze wiele rzeczy. Na koniec upominał go po ojcowsku, aby do tak wielkiej sprawy nie podchodził zbyt lekkomyślnie.

Po roku biedny zakonnik powrócił z pielgrzymki i zjawił się znów w sąsiednim klasztorze aby się podzielić swymi

wrażeniami. Bogaty współbrat był wprawdzie trochę zakłopotany, ale dalej utrzymywał, że jest dopiero w toku przygotowań do świętej wyprawy.

Jaki stąd morał dla mnie? Używany przeze mnie komputer jest na tyle dobry, na ile nie niszcząc mojej wolności, pomaga mi pracować dla Boga i dla Ludzi, ułatwia i ulepsza moje posługiwanie innym. Oczywiście pamiętać należy, że się można „przywyczaić” do rzeczy, „obrosnąć” w nie, zgodzić się na wygody i nie wyobrażać sobie życia bez nich. I w tym się właśnie kryje największe niebezpieczeństwo, jakie grozi ubóstwu. Tego się również bardzo obawiał Franciszek. Chciał, aby jego synowie byli wolni, niczym nie skrępowani w służbie dla Pana, aby się umieli cieszyć bogactwem stworzenia, ale jednocześnie wiedzieli, że pochodzi ono od Boga.

Wielki właściciel ziemski bywał zwykle przygnębiony, zaś włościanin wioskowy zawsze radosny.

Pustelnik zapytany o powód takiego stanu rzeczy odpowiedział:

- Pierwszy posiada ziemię, a drugi cieszy się jej krajobrazem.

Moje życie na tyle jest wierne Franciszkowemu ideałowi ubóstwa, na ile posiadane przeze mnie rzeczy nie gaszą ducha radości, pobożności, miłości Boga i bliźniego, ale pomagają mi być tam, gdzie mnie potrzebują i służyć w taki sposób, w jaki ode mnie oczekują. I jeszcze jedna mała uwaga. Trzeba pamiętać, że granica między posiadaniem rzeczy dla Dzieła Bożego, a posiadaniem ich wyłącznie „dla siebie” jest bardzo delikatna, niekiedy wręcz niezauważalna dla mnie, który ich używam jak również dla osób z zewnątrz. Przypomina ona ostrze noża, który rani nieostrożnego lub kaleczy nieuważnego. Dlatego nabywając jakąś rzecz materialną, muszę postawić sobie pytanie, czy jest ona konieczna w mojej pracy, czy aby nie kupuję jej dlatego tylko, że „wszyscy” to mają, zapewniając sobie przez to

pewien zewnętrzny standard życia i podniesienie siebie na wyższy poziom społeczny.

Przejmując na siebie pewien zakres spraw materialnych zewnętrzne struktury zakonne pomagają żyć ubogo osobie, praktykować w swoim życiu Franciszkowy ideał ubóstwa. Lecz aby tak było, potrzeba dużego wewnętrznego wyrobienia, właściwej postawy ducha danej osoby, aby formalne struktury organizacji nie były dla niej tylko parawanem, za który się ukryje ze swoim bogatym życiem.

brat Zdzisław

=====

UROK BOGACTWA

Niebezpieczeństwem, jakie świat stwarza dla nas, jest urok pieniądza i bogactwa. Często się mówi i pisze o trudnej sytuacji przejściowej, o kłopotach gospodarczych, wskazuje się na bezrobocie i wzrost liczby bezdomnych, narzeka na zubożenie społeczeństwa. Jednocześnie zauważa się niespotykaną dotąd chęć posiadania jak najwięcej, żądę wzbogacania się za wszelką cenę i jak najszybciej. Nie wystarczają już proste i niezbędne urządzenia ułatwiające życie. Kupuje się przedmioty zbytku, luksusu, często rzeczy niepotrzebne. Zadziwia ten pęd posiadania wszystkiego na raz. Młode małżeństwo nie tylko chce zapewnić sobie utrzymanie i samodzielne mieszkanie, ale bardzo często chce mieć także, i to od zaraz, samochód eleganckiej marki, automatyczną zmywarkę do naczyń, komplet garnków *Zepster*, lub urządzeń jeszcze świeższej generacji. Nieraz cały wysiłek pracy i umysłu skupia się na tym, aby się znaleźć w gronie szczęśliwych posiadaczy jeszcze jednego przedmiotu. Wszystko to się robi po to, aby uczynić życie wygodniejszym, łatwiejszym. W tym, aby mieć i to jak najwięcej upatruje się gwarancji dobrego samopoczucia, zadowolenia, szuka się ideału szczęścia.

Spójrzmy na rzeczywistość naszego życia, na nasze ideały i dążenia, na właściwy stosunek człowieka do wartości ziemskich. Wiemy, że świat ze swoimi dobrami nie jest czymś złym. Może się jednak stać zagrożeniem dla człowieka, jeśli ten widzieć w nim będzie cel ostateczny. Odrębnego zastanowienia wymaga sposób zdobywania rzeczy i cel ich użycia. I tutaj trzeba sobie postawić pytania:

- Czy posiadane przeze mnie rzeczy pomogą mi do działania dla mojego i wspólnego dobra?

- Czy zdobywam je w sposób uczciwy?

- Czy drugiego człowieka nie oceniam według tego, co on posiada, lub do czego się nam może przydać?

Im częściej będziemy sobie stawiać te i podobne pytania, tym większe prawdopodobieństwo, że z umiarem i roztropnie będziemy korzystać z dóbr tego świata. Osiągniemy wewnętrzną wolność i spokój, a także łatwiej będzie o zadowolenie z siebie. Człowiek prawdziwie szczęśliwy, to ten, który jest bogaty przed Bogiem. Nie musi żyć w ciągłym strachu przed złodziejem, katastrofą, bankructwem banku w którym ulokował oszczędności. Jego bogactwa ani złodziej nie ukradnie, ani woda, ani inny żywioł nie zniszczy, nie podważy go nawet galopująca inflacja.

To są stare i może oklepane prawdy, ale sprawdzają się w życiu.

opracował brat T.M.

=====

LUDZKIE DYLEMATY

I

...>I stało się (...), że On wszedł do jednego miasteczka i jedna niewiasta imieniem Marta przyjęła Go do domu swego. A ta miała siostrę imieniem Maria, która też siedząc u stóp Jezusa słuchała słowa Jego. Ona tedy stanąwszy rzekła: Panie nie dbasz Ty o to, że siostra moja opuściła

mię samą służyć? Rzeczże jej tedy, aby mi pomogła. A Pan odpowiadając rzekł jej: Marto, Marto, troszczysz się i fraszujesz około bardzo wiele, ale jednego potrzeba. Maria najlepszą czastkę obrała, która od niej nie będzie odjęta...<< (Łuk. 10;38-42).

Imię 'Marta' ma kilka odcieni znaczeniowych w języku aramajskim. Jedno z nich, to 'gospodyni' - troszcząca się o dom. Oznacza to, że od zaradności „Marty” uzależniona jest kondycja materialna całej rodziny i jej zewnętrzna ocena. „Marta” miała decydować o miejscu rodziny w hierarchii społecznej; uzależnione to było od zapobiegliwości „Marty-gospodyni”, szafarki dóbr doczesnych. Marta: gospodyni, ekonomka, kluczniczka w dworku, albo zgoła pani domu - ta od której zależy czy gość zostanie właściwie przyjęty i uhonorowany. W tym momencie wchodzimy na tory współczesnego myślenia i naszej praktyki codziennej, praktyki życia w rodzinie, spotkań towarzyskich i zabiegania o nasz standard życiowy.

II

Człowiek schyłku XX wieku działa w sytuacji ciągłej pogoni za dobrami doczesnymi. Hasło „mieć” przysłoniło inne hasła, a to pociąga za sobą chęć zdobywania nowych wartości materialnych niekoniecznie nieodzownych dla życia na Ziemi. Trwa swoisty wyścig ludzi, niezależnie od szerokości geograficznej, w zdobywaniu nowych wartości materialnych. Wartości te stanowią miernik powodzenia człowieka i jego pozycji w gronie ludzi. Modne w swoim czasie materialistyczne hasło, że „byt określa świadomość” w nowej rzeczywistości przekształciło się w pęd bez umiarkowania za dobrami tego świata. I stało się tak mimo formalnego wypierania się przez ludzi materialistycznego poglądu na świat. Słowom odcinającym się od brutalnego materializmu nie towarzyszą fakty. Materia przesłania ducha i bierze nad nim górę. To już nie „Marta-gospodyni” jest

symbolem człowieka, lecz osobnik brutalnie zawłaszczający dobra Ziemi, bez umiaru zdobywający dla siebie materię ziemską. Człowiekowi nie wystarcza zwykłe korzystanie z dóbr doczesnych; on potrzebuje przywłaszczenia ich jak najwięcej. W pogoni za dobrami tego świata nie widać ani umiarkowania, ani miejsca dla refleksji duchowej. Pojedyncze głosy rozsądku nie potrafią zatrzymać człowieka w pędzie ku „MIEĆ”. Człowiek współczesny tym samym stał się wynaturzeniem „MARTY” - gospodyni starającej się o dobro rodziny lub znajomych. Dzisiejszy człowiek to daleko idące, negatywne odstępstwo od pierwowzoru Marty-gospodyni, która zapomniała o Bogu starając się jak najlepiej zaprezentować swój dom i jego zasobność oraz gościnność pojętą po ludzku.

III

Maria z ewangelicznej opowieści, to synonim człowieka, który ponad materię przedkłada ducha. Nie jest dla niej ważny sposób przyjęcia gości, ani osąd o domu. Ważne jest, aby skorzystać najwięcej z tego, co tak ważny Gość przekazuje w naukach. Można się doszukiwać w postawie Marii zaczątków zakonów kontemplacyjnych nie troszczących się o codzienność i sprawy ziemskie. Dla ludzi pokroju Marii idea jest sprawą najważniejszą i tylko dla niej chcą żyć. Dla tego rodzaju ludzi ważne jest nie „MIEĆ”, ale „BYĆ”. Być na Ziemi świadomie z myślą, że wiem dlaczego tu jestem i jakie ciężą na mnie obowiązki. Wiem, że powołał mnie Bóg na Ziemię, abym spełnił określone posłannictwo i mam temu posłannictwu, temu powołaniu, w miarę mych sił ludzkich odpowiedzieć. Mieć Świadomość racji swego „bytu” na Ziemi, to wielka sprawa. To wybranie tej „lepszego części” z opowieści ewangelicznej. Wybór taki jest trudny, ale jedyny dla człowieka, jeżeli chce żyć według wskazań ewangelicznych.

IV

W praktyce dnia codziennego trudno zająć postawę jednoznaczną. Człowiek, narażony na oddziaływanie reklam, indoktrynacji i nacisków środowiskowych nie potrafi często w „zamęcie świata” znaleźć właściwej drogi dla siebie. Dlatego tak łatwo przechodzi na pozycję Marty zapominając, że to Maria obrała „lepszą część”. Pogodzenie tych dwóch postaw jest trudne i wymaga hartu ducha, aby się nie dać wpędzić w sytuację, w której tylko materia jest ważna. Dziś, na co dzień, trzeba decydować w jakim zakresie będą odpowiadał wzorcowi prezentowanemu przez Martę, czy przez Marię. Wybór tego wzorca należy do człowieka i to on sam musi określić, czy wybierze lepszą część, przedkładając dychanad materię, co nie oznacza, że ma się wyrzec dóbr doczesnych, Ma się tylko nauczyć prawidłowo z nich korzystać, aby nie zabić swego prawdziwego „ja” i nie zapomnieć, że najważniejsze jest „BYĆ”

brat Józef

=====

TWOJE SŁUBOWANIE

Wspomożenie Boskie twemu postanowieniu, dzielny wędrowcze! Niechaj ci się darzy na ścieżce. Wstępuj na nią z ufnością.

Możesz być pewny zwycięstwa, dopóki wierny będziesz swemu postanowieniu. Ręka moja zawsze czuwa, aby cię uchronić, jeśli tylko walczysz mężnie.

Moim świętym obowiązkiem jest wskazywanie ci drogi, ale przebyć ją musisz samotnie. Ostrzegać cię przed podstępnyimi wrogami i ujawniać ich złe zamiary - jest moją misją. Ale bronić się przed nieprzyjaciółmi i pokonywać ich - jest to twoje własne zadanie.

Pouczanie cię o prawach i tajemnicach życia - jest moim obowiązkiem. Ale wcielenie w życie tych pouczeń - należy wyłącznie do ciebie.

Nie zaniedbam ostrzegania cię przed błędzeniem nad przepaściami, ale omijanie ich, nieustanna czujność i gotowość do walki - jest to już twój własny obowiązek.

Dopóki nie stracisz odwagi i nie dasz się obezwładnić zwątpieniu, dopóty możesz być pewny zwycięstwa.

Dzielne serce nie zna trwogi, ani zwątpienia. Pozwól tylko swemu sercu przekonać się o boskości postanowienia!

Bądź zawsze świadom odpowiedzialności za ślubowanie. Pozwól rozwinąć się w pełni twórczym siłom twej duszy i trwaj mocno w wierze w Boskie przewodnictwo.

Dbaj, aby puchar twego serca przepelniała zawsze wdzięczność. Ufaj niezachwianie w moc swej duszy.

Oby serce twe ożywiała nieustannie prawda:

„Nie ma drogi, która nie wiodłaby do celu! Nie ma ofiary, która nie wydałaby owoców!”

Jerzy Znamierowski

=====

Jeszcze o „rozwolnieniu obyczajów”

Wiele razy słyszałem słowa zażenowania pochodzące od mariawitów, w tym i duchownych, a odnoszące się do tego „nieszczęsnego” określenia użytego przez Mateczkę prawie na wstępie relacji swoich Objawień, a mianowicie do „rozwolnienia obyczajów”. Wprawdzie autor artykułu „Kilka uwag o języku F.M. Kozłowskiej” w zeszycie 6. str. 16.-21. „Pracy” wyjaśnia iż nie jest to błąd językowy, ani też gwara, nie mniej nie zaszkodzi przytoczyć pewną pracę - dodam, że naukową - gdzie takie określenie uzyskało pełnię obywatelstwa. Oto młodszy o dwa lata od Mateczki ks. Jan Fijałek, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego

i uczelni rzymskich, profesor Uniwersytetu we Lwowie i w Krakowie w roku 1894 (zwracam uwagę na datę zbliżoną do pierwszego Objawienia Mateczki !) opublikował pracę pt. „*Życie i obyczaje kleru w Polsce średniowiecznej*” wydaną staraniem Akademii Umiejętności. W pracy tej użył określenia właśnie „*rozwolnienie obyczajów*” - cytuję za wznowionym wydaniem - Kraków 1997 str. 75. Sadzę, że to uzupełnienie wspomnianego wyżej artykułu z „Pracy” jest ważne. Określenie ‘*rozwolnienie obyczajów*’ nie tylko funkcjonowało w zaborze rosyjskim, gdzie język polski ulegał rozmaitym ograniczeniom, ale i w zaborze austriackim, w którym kultura polska doświadczała wielu przywilejów, a polonistyka na obu uniwersytetach (we Lwowie i w Krakowie) stała na wysokim poziomie. Niech więc wszyscy lękający się o poprawność języka Objawień Mateczki wezmą pod uwagę nie tylko wywody zawarte 6. zeszycie „Pracy nad sobą” ale i moje uzupełnienie.

br. Wiktor

=====

Parasol

Zdziwicie się, że ja, Wasz braciszek - mariawita piszę dziś na temat parasola. Może pomyślicie, że coś niedobrze z moim rozumem? Wielki niemiecki poeta, Goethe, wyraził się kiedyś „Wszystko tu na ziemi jest tylko obrazem”. Uważał, że wszystko co możemy zobaczyć opowiada nam o czymś, jest świadectwem czegoś, pewnej wyższej realności, która jest wokół nas.

Czy nawet jakiś parasol może nam coś powiedzieć o Bogu i jego miłości dla nas ludzi?

Gdy jesteście poza domem i nagle was zaskakuje wielka ulewa, biegniecie szybko pod okap najbliższego domu. Tak postępują dzieci biegnące ze szkoły. Wskutek tego możecie wrócić do domu będąc więcej lub mniej suchymi. Lecz noszenie ze sobą stale parasola wydaje się znacznie pewniejsze i jest starożytnym już wynalazkiem człowieka.

Nawet w Starym Testamencie często jest wspominany parasol, przeważnie w związku z pojęciem ochrony.

Zaraz o tym opowiem.

Rozważając, co nam może powiedzieć parasol, zauważyłem bowiem trzy punkty, które właśnie chcę rozwinąć

Punkt pierwszy:

Popatrzcie: oto złożony parasol. Może mi służyć poprostu jako laska. Przypomina mi psalm 22 (23), gdzie mówimy o Bogu jako Dobrym Pasterzu: Tam powiedziano: „Bo choćbym chodził doliną cienia śmierci, nie będę się bał złego, bo Ty jesteś ze mną. Różga Twoja i laska Twoja, te mnie cieszyły”

Wiecie jak to jest gdy się idzie długim szlakiem: człowiek jest zmęczony i dobrze wtedy gdy dostaniemy od kogoś kij aby się podparć. Boża pomoc i wsparcie jest właśnie czymś takim w naszej drodze życia..

Może zresztą pobożny psalmista myślał o czymś innym - że kijem możemy się zastawić przed atakującym nas zwierzakiem, może właśnie w dolinie cienia śmierci?

A więc gdy się jest samotnie na otwartym, mrocznym polu może nas atakować niepewność i lęk. I możemy wtedy wynieść z tego psalmu ufnosć, że utrzymamy w przyzwoitej odległości czarta, który nas atakuje, że nas nie tknie. że złe stworzenie ucieknie.

Słyszałem, że u benedyktynów jest zwyczaj iż opat mnichowi, który kończy osiemdziesiąty rok życia wręcza tak zwaną „laskę starości”. Można zrozumieć znaczenie tego: Bóg będzie twoją laską i podporą w starości tak jak był dotąd. Taka laska jest również z pewnością znakiem honorowym.

Punkt drugi.

A teraz biorę parasol i otwieram go. Parasol rozwija jakby skrzydła. Rozszerza się tak, jak się ma szerzyć Słowo Boże. „I rozszerzało się Słowo Pańskie po wszystkich krainach” (Dzieje 13:49) i to jest również nasze powołanie szerzyć za granicą Dzieło Boże. Zaś w wielu miejscach Starego Testamentu wspomina się o Bożych Skrzydłach: Na przykład w 32 rozdziale Księgi Powtórzonego Prawa w wierszu 11 Mojżesz mówi, że Bóg rozpościera skrzydła nad swym ludem niby orzeł.

Pomyślmy też o pięknym obrazie, który Jezus stosuje sam do siebie pragnąc zgromadzić Swój lud „jak kokosz zgromadza kurczęta pod swoje skrzydła” (Mat. 23;37).

Punkt trzeci.

A teraz podnoszę otwarty parasol nad sobą. Psalm 90 (91) przedstawia opiekę, jaką Wszechmogący rozpościera nad swoim ludem. I Bóg zapewnia nas o niej: „Wybawię go i obronię, że poznał Imię Moje”.

Czyście zauważyli że „duchy przeciwne” nie mają imion? Zaś Bóg zwraca się do nas twarzą i imieniem. W Jezusie Chrystusie Bóg stał się poznawalny. Więc możemy go znać i wzywać Jego Imienia. Jakże wiele to znaczy!

Znalazłem jeszcze jeden staro testamentowy odnośnik w Księdze Eklezjastyka (43;3) o wielkim upale jaki daje Słońce. Parasola można użyć jako ochrony przed słońcem. I zwykliśmy tak właśnie postępować.

W niektórych językach antyfona do Matki Jezusa „Pod Twoją obronę” śpiewa się „Pod Twoją obronę i cień”. W Jej cieniu możemy się schronić przed ogniem upalenia.

brat Ansgar

tłumaczył na polski brat Paweł

=====

UWAGI O KRYTYKANCTWIE

Artykuł „Krytykanctwo” z zeszytu 10 „Pracy” wywołał następujący list do redakcji.

Krytyka jest najczęściej odbierana jako czynność negatywna i naganna, destrukcyjna, często o anarchistycznym lub egoistycznym podtekście. Ale pomyślmy, czy takie ujęcie nie jest zbyt krytyczne w stosunku do zjawiska bardzo szerokiego, którego wartości nie

wolno przeoczyć. Jest bowiem krytyka elementem utrzymania stanu równowagi w świecie.

Z krytyką w najczystszej postaci spotyka się każdy, kto ma do czynienia z wychowaniem młodzieży. Na pewnym etapie rozwoju emocjonalnego i światopoglądowego młodzież przestaje automatycznie akceptować oczywiste dotąd wartości i zachowania przekazane jej przez rodziców i zaczyna dokonywać własnej oceny, szukać alternatyw tam, gdzie ich dotąd nigdy być nie mogło, i tym mocniej właśnie tam. W zdrowej rodzinie po okresie takiej konfrontacji najczęściej dochodzi do powtórnej akceptacji większości przekazanych poglądów, ale zdarza się, że młody człowiek odkrywa że „król jest nagi” i nigdy z tego osądu nie zrezygnuje. I może chwala mu za to. Można więc krytykę traktować jako element kontrolny w stosunku do różnych dziedzin życia.

W polityce często opozycja posługuje się krytyką w celu prostego zastąpienia istniejącej władzy, bez perspektywy dokonania konstruktywnych zmian. Taka krytyka jest destrukcyjna i szkodliwa. Brak jednakże krytyki prawie na pewno doprowadzi do wynaturzeń i nadużyć na wszystkich szczeblach władzy i hierarchii. Człowiek bowiem z natury broni się przed krytyką, jest mu niemiła, zmusza do przewartościowań i tylko ludzie wielkiego ducha potrafią się z pokorą wsłuchiwać w krytykę i właściwie na nią reagować. Częściej osoba zainteresowana jest w stanie skompletować cały arsenał argumentów pozwalających odeprzeć krytykę, uwypuklić jej nieścisłości czy niedoskonałości utwierdzając się w poczuciu swojej racji, a nawet monopolu na słuszość. Wielu się nie zawaha utożsamić krytyki swojej osoby z krytyką reprezentowanego przez siebie ciała, które jako powszechnie wiarygodne staje się rękojmią osobistej nieomyślności i nietykalności.

Najbardziej niebezpieczne jest zinstytucjonalizowane zwalczanie krytyki, prowadzi bowiem do nieuchronnych wynaturzeń, które w takim wypadku mogą być przekazywane przez pokolenia i na długi okres powstrzymywać naturalny mechanizm równowagi.

Wypowiedź ta wbrew pozorom nie jest pochwałą krytykanctwa czy dalej idąc - anarchii. Jest zaakcentowaniem prawa do oceny dobra i zła, tolerancji dla innych ocen i potrzeby odpowiedzialnego formułowania wniosków z tych ocen wynikających. Sądzę, że stanowi istotne dopełnienie artykułu o krytykanctwie.

Marek Suder

=====

PRÓBY REFORMY LITURGICZNEJ, A SPIEW W KOSCIELE STAROKATOLICKIM MARIAWITÓW

Poniższy artykuł bezpośrednio dotyczy wprawdzie wyłącznie dużych parafii Kościoła Starokatolickiego Mariawitów, gdzie są organści i chóry, może jednak być pouczający dla członków wszelkich placówek kościelnych i wyznawców wszystkich kościołów.

Nawiązując do artykułów brata Pawła i A. Wiśniewskiego w zeszytach 1,3 i 5. „Pracy nad sobą” na temat samowolnych zmian w liturgii mariawickiej, chciałbym dołączyć kilka uwag na temat dowolnej interpretacji partytur naszych Mszy Świętych. Chciałbym także zwrócić uwagę na zachwaszczenie naszego Kościoła piosenkami nadającymi się raczej do śpiewania na obozach młodzieżowych, lecz nie w murach kościelnych.

Odnosi się to najbardziej do partytury „I Mszy Świętej” - najczęściej wykonywanej. Podobnie jak liturgia mariawicka ułożona przez pierwszych kapłanów z udziałem Mateczki, tworzona była niewątpliwie pod Bożym natchnieniem, tak wierzę i jestem przekonany, że muzyka do naszych Mszy Świętych pisana przez biskupa Jakuba Próchniewskiego i siostrę Salomeę Elszyk, też jest nasycona Bożym natchnieniem i nie powinna być zmieniana. To powinien być **kanon**, gdyż prosta harmonia tych Mszy pozwala się skupić na tekście liturgicznym śpiewanym przez chór. Wszelkie ozdobniki i akordy wtrącone zaciemniają melodię i cały czar modlitwy pryska przygnieciony popisami organisty. Wszystko jest dobre, ale w miejscach odpowiednich, bo przecież w czasie

nabożeństwa są momenty, gdzie można dać upust własnej inwencji. Nie można się tłumaczyć brakiem nut, gdyż w latach siedemdziesiątych, przy wydatnej pomocy biskupa Inocentego Gołębiowskiego, odbiłem partyturę i głosy Mszy Świętej z oryginału pożyczanego z Plocka i rozpowszechniłem prawie po wszystkich parafiach Kościoła Starokatolickiego Mariawitów.

Te uwagi kieruję w tej chwili tylko do jednej parafii, bo w Cegłowie zmienił się ostatnio organista (jest nim obecnie br. Tadeusz Sadoch) i wszystko tam wróciło do normy. Do jakiej to parafii kieruję uwagi, to w tej chwili nie jest ważne, ale ważne jest to, że będąc tam kiedyś na nabożeństwie w niedzielę, myślałem że nie jestem w kościele mariawickim. Oprócz tego, że ustawiczne wstawania i siadania rozpraszały nastrój modlitwy, to i muzyka towarzysząca „I Mszy Świętej” była, delikatnie mówiąc, niewłaściwa przez niepotrzebne zmiany harmoniczne. Wykonywana była poza tym w stanie szczątkowym, a potem następowały obce śpiewy, które raziły i wywoływały odruch zniecierpliwienia i niesmaku.

Myślę, że nie tędy idzie droga do jedności w Kościele Chrystusowym. Powinniśmy chronić swoje wartości i pielęgnować je, a nie upodabniać się na siłę do innych. Lepsza jest różnorodność w jedności i poszanowanie wartości innych. Myślę, że to jest właśnie miłe Bogu.

Chciałbym też wyrazić swą opinię na temat zachwaszczenia naszych kościołów piosenkami nie nadającymi się do wykonywania w Kościele. O ile się nie mylę, to w innych kościołach działają komisje stwierdzające, czy dana pieśń może być w kościele wykonywana. U nas tego nie ma. Każdy organista może sobie wprowadzić do śpiewanie podobającą się jemu piosenkę nie zastanawiając się nad tym, czy się do tego nadaje, czy nie. Jako przykład rozgraniczenia pieśni od piosenek dam kolędy i pastoralki. Te drugie nie mogą być wykonywane w czasie nabożeństwa. Przypominam sobie jak to grając na organach w Wiśniewie podczas uroczystej sumy związanej z konsekracją biskupa Ludwika Jabłońskiego, młodzi członkowie miejscowego chóru (który ja zorganizowałem i wyszkoliłem w latach 1987-88 na prośbę ówczesnego proboszcza kapłana Bogumiła Grzelaka) uparli się, aby podczas komunii kapłańskiej zaśpiewać jakieś piosenki. Mając świadomość, że nie pasowało to do powagi tego momentu, nie

zgodziłem się na to i zaśpiewali je dopiero podczas komunii wiernych.

Pojawia się tu problem odpowiedzialności organisty za wykonywane w kościele pieśni i utwory. Nie wszystko się do tego kwalifikuje, a przecież mamy kilka pięknych pieśni mariawickich jak np. „O miłosierny Boże”, czy „O Miłosierdzia, Miłosierdzia Panie”. Nastrój modlitwy i przepiękne słowa predystynują te pieśni do wykonywania w kościele, a tak rzadko się je słyszy. Tych pieśni i wielu innych, tradycyjnie śpiewanych w naszym Kościele jest ponad 220 w wydanym przeze mnie „*Śpiewniku Kościoła Starokatolickiego Mariawitów*”. Śpiewnik ten był wydany przy życzliwej pomocy i aprobacie ordynariusza diecezji Śląsko - Łódzkiej biskupa Włodzimierza Jaworskiego, który w chwili obecnej pełni obowiązki Biskupa Naczelnego naszego Kościoła.

Kończąc uwagi, jakie mi się nasunęły podczas ponad czterdziestoletniej pracy z chórami naszego Kościoła, wyrażam nadzieję, że i u nas dojdzie do tego, że grono osób kompetentnych w tych sprawach będzie miało wpływ na to, co się śpiewa w naszych kościołach.

S. Jałosiński

RECENZJE

KRÓTKI KATECHIZM MARIAWITÓW

Nadesłano nam wydany staraniem brata Stanisława Jałosińskiego, przeznaczony dla katechetów i kapłanów prowadzących naukę religii, reprint wydanego w swoim czasie przez br. M. Bernarda Kukłę „Krótkiego Katechizmu Staro-Katolickiego Kościoła Mariawitów”. Jest to odrębne obok omówionego w zeszyt 8. „Pracy” (str. 23.-24.) wznowienia tego starego katechizmu. Zawartość obu jest identyczna z wyjątkiem dodanego - w tym omówionym przez nas wcześniej - tekstu ministrantury.

Brat kapłan Bernard ułożył i wydał swój katechizm (podobnie jak i „Brewiarzyk Mariawicki”) anonimowo w czasach wojującego w Polsce ateizmu, gdy zdobycie zezwolenia na druk tekstów religijnych było niezmiernie trudne. Na owe czasy te kilkadziesiąt stroniczek „podręcznika” religijnego dla dzieci było wielkim osiągnięciem jego i Kościoła.

Cieszę nas oba omówione wznowienia i mamy nadzieję, że są to pierwsze jaskółki wydawnicze, w ślad za którymi ukaże się nowy katechizm, obszerniejszy, pozbawiony niepotrzebnych archaizmów i bardziej dostosowany do psychiki dzieci.

brat Paweł

HISTORIE MARIAWICKIE WEDŁUG EDWARDA WARCHOŁA

Uważam, że recenzja Brata Pawła¹ nie wyczerpała uwag i zarzutów, które można zgłosić pod adresem książki Edwarda Warchoła „Starokatolicki Kościół Mariawitów w okresie II Rzeczypospolitej”². Dlatego zdecydowałem się na napisanie dodatkowych uwag ujmując je z nieco innej pozycji.

Największym gwałtem zadaniem zasadom opracowania naukowego lub popularnonaukowego jest napisanie pracy nie na temat. Jeżeli autor nadaje swej dysertacji tytuł wiążący osobę prawną z pewnym okresem historycznym charakterystycznym dla danego państwa, to należałoby się spodziewać, że będą tam poruszone również problemy związane ze statusem tej osoby w państwie, zmiany tego statusu, rozwój stosunków danej osoby prawnej z władzą i administracją państwową. Recenzowana praca nie zawiera takich treści ograniczając się jedynie do krótkiej charakterystyki sytuacji Kościoła Mariawitów w byłym zaborze rosyjskim. Autor skupia się na sylwetce arcybiskupa Kowalskiego i charakteryzuje w zasadzie tylko jego rządy w Kościele po śmierci Założycielki. Poza zainteresowaniem autora są inne działania

Kościola i jego agend. Opisanie w książce pewnych działań przedstawicieli kościelnych w stosunku do władzy państwowej lub administracji państwowej ogranicza się do spraw związanych z usuwaniem arcybiskupa Kowalskiego ze stanowiska kierowniczego w Kościele. Opisuje także jeden tylko proces sądowy dotyczący zarzutów stawianych arcybiskupowi co do popełnienia czynów niemoralnych. Pomija te postępowania, które zarzucały jemu i innym duchownym bluźnierstwa. Dokonując wybiórczej selekcji w materiale autor pominął fakty, że przez bluźnierstwo ówczesna władza sądownicza rozumiała między innymi zarzuty wobec papieża, lub dostojników kościelnych. W opiniowanej książce brak informacji, że z takich właśnie powodów kary aresztu odbywali dwaj redaktorzy odpowiedzialni mariawickich pism: brat diakon Jerzy M. Piotr Maciejec i kapłan M. Paschalis Góra. Przeciwno kapłanowi M. Jakubowi Łuszczewskiemu prowadzono śledztwo za artykuł napisany przeciw nuncjuszowi watykańskiemu w Polsce arcybiskupowi Marmaggiemu. Winą tego kapłana było, że zaprotestował przeciw ingerencjom nuncjusza w wewnętrzne sprawy polskie.

Baza źródłowa do której autor się odwołuje jest jakże skąpa i zebrana pod określonym kątem. Oto bowiem przy charakterystyce statusu Kościoła Mariawitów w państwie E. Warchoła odwołał się do prac prof. Sawickiego, pomijając prace choćby profesorów Świątkowskiego, Ułaszyna, Osuchowskiego. Nadto autor pominął istotny fakt, że ten kościół był uznawany *de jure* tylko na terenie byłej „Kongresówki”, co w świetle przepisów konstytucji z 1921 i 1935 roku miało swój wydzźwięk tak teoretyczny, jak i praktyczny. Autor powołuje się na materiały źródłowe z Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Jeżeli autor rzeczywiście do nich dotarł, to dziwi, że pisząc o Kościele Mariawitów w II Rzeczypospolitej nie poświęcił choćby kilku zdań osobliwości prawnej, że Kościół, któremu konstytucja gwarantowała tolerancję, nie miał prawa do otwarcia nowych placówek poza byłym zaborem rosyjskim, a i na tym terenie uniemożliwiano

Kościółowi pełnienie misji. Czyżby zdaniem autora fakty te nie dotyczyły Kościoła Mariawitów w II Rzeczypospolitej?

Działalność Kościoła, to nie tylko misja religijna. To także, a w przypadku Kościoła Mariawitów szczególnie, praca społeczno oświatowa. I tę w II Rzeczypospolitej Kościół realizował. Zabrakło w omawianym opracowaniu stwierdzenia, że mariawici przybliżyli ludowi (nie wstydę się tego określenia) wiele dzieł z literatury polskiej, a głównie z okresu romantyzmu - w wydawnictwach zwartych lub w przedrukach w prasie. Zabrakło stwierdzenia, że ten wykpiony praktycznie przez autora arcybiskup Kowalski przetłumaczył na polski Pismo Święte, a także „*Boską Komedię*” Dantego. Wydanie tych pozycji firmował i finansował Kościół, a więc te fakty również się zaliczają do historii Kościoła z czasów II Rzeczypospolitej. Pominiecie tych spraw to nie tylko dowód na stronniczość autora, ale i na to, że napisał ją nie na temat. Mógłbym na tym poprzestać. Jednak opracowanie E. Warchoła nosi piętno innych jeszcze stronniczości.

Autor, a może i osoby sprawujące naukowy nadzór nad tą pracą, stara się uwiarygodnić swoje twierdzenia, postawione - moim zdaniem - *a priori*, przez obfite przytaczanie bazy źródłowej, w tym wydawnictw mariawickich. Jednak pobieżna nawet analiza tez i dowodów przytaczanych na ich poparcie wykazuje wyraźne manipulacje. Oto przykład: E. Warchoła pisze o pogodzeniu się Założycielki z tezą głoszoną przez kręgi mariawickie, głównie przez arcybiskupa Kowalskiego, o Jej równości z Matką Boską (str.49.). Na udowodnienie tej tezy autor przytacza w przypisach (str. 141. przyp.30.) modlitwy do Mateczki bez obiektywnego podania źródła i co ważniejsze - roku ich powstania. Gdzież tu zgoda Założycielki na litanie i modlitwy do niej? Tylko autor wie w jaki sposób wyprowadzić z tych modlitw przyzwolenie Mateczki w tej materii.

Do mniejszych potknięć zaliczę mylenie nazwisk niektórych kapłanów mariawickich - Szymański zamiast Szymanowski (str. 32 i 33), Zbichorowicz zamiast Zbirochowicz (str. 35) oraz Bołłoczan

zamiast Bołłoczko (str. 72). W części uzupełniającej autor zamieszcza fotografie pierwszych - jak rozumiem - kapłanów mariawitów. Tajemnicą autora będzie dlaczego nie ma wśród nich fotografii ks. Romana Próchniewskiego - późniejszego biskupa M. Jakuba. Dla odmiany znalazło się tam zdjęcie księdza Piotra Fatome z Nantes, który w żaden sposób nie może być zaliczona do grupy pierwszych kapłanów. Te pomyłki potwierdzają fakt, że dobór faktograficzny był w tej pracy przypadkowy.

E. Warchoła wiele uwagi poświęca temu procesowi arcybiskupa Kowalskiego, w którym zarzucano mu popełnienie czynów niemoralnych. Był to przedziwny proces. Jego akta w dziwny sposób zginęły, choć akta innych procesów przetrwały okres wojny. Wsprawdzie około roku 1970. były do kupienia w Warszawie akta podręczne procesowe adwokata Śmiarowskiego, ale nie wiem co się z nimi ostatecznie stało. Inna sprawa, że podręczne akta procesowe obrońcy, to nie to samo, co akta sądowe, ale wobec braku sądowych byłyby może pomocne. W sumie badacz procesu pozostaje tylko z enuncjacjami prasowymi na ten temat i musi z nich wyluskiwać prawdę. Prasa bowiem była w zasadzie stronnicza i pisała często nie o procesie arcybiskupa Kowalskiego, ale o procesie mariawitów. Prasa mariawicka też była stronnicza ukazując arcybiskupa Kowalskiego wyłącznie w dobrym świetle. Proces ten dla dzisiejszego badacza starającego się być obiektywnym, a znającego nieco ówczesną procedurę karną i prawo materialne, budzi wiele wątpliwości. Mieli je również wówczas prokurator Sądu Okręgowego w Płocku W. Dłouhy oraz jeden z sędziów - Alchimowicz „który złożył *votum separatum* od wyroku. Mariawicki głos na temat wątpliwości dotyczących tego procesu³ został pominięty tak przez J. Peterkiewicza, jak i przez E. Warchoła. Wydaje się, że warto wrócić do argumentacji tam przedstawionej i przez jej pryzmat na proces ten popatrzeć, szczególnie że E. Warchoła musiał choćby pośrednio przyznać, że wiele zarzutów stawianych arcybiskupowi Kowalskiemu zostało w procesie obalonych, jeżeli się porówna zarzuty wyjściowe z zarzutami, jakie

się w procesie utrzymały. Autor relacjonując proces oparł się na prasie niesprzyjającej arcybiskupowi Kowalskiemu, choć należałoby dla dobra książki pokazać i inne głosy w tej sprawie pochodzące ze środowisk pozamariawickich. Uważam, że nie można także uznać późniejszego odwołania zeznań przez świadków (M. Tomesównę i Z. Prochównę) za nieautentyczne (str. 152 przyp 22 i str. 203 - 204). Uznanie tych odwołań za mariawickie konfabulacje, bez żadnego uzasadnienia, jest kolejnym nadużyciem przez autora dobrych obyczajów. Odwołanie zeznań złożonych pod przysięgą ma - o czym Autor pewnie wie - aspekt religijny i karny. Dziwne, że tej okoliczności ówczesni przeciwnicy arcybiskupa Kowalskiego nie chcieli wykorzystać. Udowodnienie mariawitom fałszu w tym zakresie byłoby wspaniałym dopełnieniem ich tezy o degrengoladzie tychże. Tu mogę wyjaśnić autorowi, że obie odwołujące swe zeznania osoby, po odejściu z klasztoru za namową Zarębskiego, po procesie wróciły w szeregi wiernych Kościoła Mariawitów. Podjęcie w stosunku do nich działań śledczych w zakresie prawdziwości zeznań, mogłoby już wtedy ujawnić przyczyny sprawcze tego procesu, czyli działanie ks. Krygiera i Zarębskiego., o czym autor pisze skrótowo na str. 125 -126. Drażnienie więc tej sprawy w tamtym czasie nie byłoby na rękę czynnikom sprawczym procesu arcybiskupa Kowalskiego szczególnie, że istniały w tym czasie oświadczenia Jerzego Maciejca i Rafaeli Komorowskiej o działaniach Zarębskiego i księdza Krygiera. Były to osoby, które udając odstępstwo od mariawityzmu i podając się za przeciwników arcybiskupa Kowalskiego znalazły się w grupie świadków szykowanych do jego oskarżenia, a następnie wróciły przed procesem do Płocka i ujawniły sprężyny spisku kierowanego przeciw arcybiskupowi.

Byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie znalazł plusów w tym opracowaniu. Książka, o której tak wiele napisałem, otrzymała imprimatur kurii rzymskokatolickiej radomskiej. Ma to istotne znaczenie w sprawie, którą chcę na koniec poruszyć. Oto bowiem po raz pierwszy ze strony Kościoła Rzymskokatolickiego przyznano

się do tego, że proces arcybiskupa Kowalskiego nie wyniknął sam z siebie, ale był kierowany przez duchowieństwo rzymskokatolickie w Polsce. E. Warchoń przyznał to na str. 125. - 126. i chwala mu za to. Przyznano też, że był to nie tylko proces wymierzony przeciw przelozonemu Kościoła Mariawitów, ale i całemu ruchowi mariawickiemu. O tym aspekcie procesu pisano już wiele i na różnych łamach. Po raz pierwszy Kościół Rzymskokatolicki przez swe imprimatur to potwierdził. Pozwolę sobie tylko nie wierzyć, że od tej akcji dystansowała się jego hierarchia. Czas pokaże jaką rolę odegrali tu choćby biskupi Ruszkiewicz i Tymieniecki, nie mówiąc o innych hierarchach.

Kiedy kolej na następne przyznanie się do winy?

Ignacy Stobiecki

¹ „Praca nad sobą” zeszyt 9 str. 28.-31.

² Edward Warchoń „Starokatolicki Kościół Mariawitów w okresie II Rzeczypospolitej” Wydawnictwo Diecezjalne Sandomierz 1997. Starczewski „Głos w dyskusji o mariawityzmie” „Mariawita” rocznik 1967 Nr 2, str. 9. - 12.

]

=====

=

Z dziejów Zgromadzenia

4. O pewnych nieporozumieniach

Posądzanie nas, o próbę stworzenia „trzeciego mariawityzmu” było całkowitą niedorzecznością gdyż z ducha, z naszej „Deklaracji” i naszych „Ustaw” wynikało i wynika jasno, że jako Zgromadzenie nie budujemy struktury jakiegos

własnego kościoła. Cieszymy się za to ilekroć ktoś z nas bywa przez właściwe władze swojego Kościoła powołany do pracy duszpasterskiej lub organizacyjnej w tymże. Również dziwne się wydawało formułowanie zarzutu o tworzenie akurat *trzeciego* mariawityzmu, gdyż wobec istniejących już trzech niezależnych central mariawickich (Płock, Felicjanów i Kolonia) należałoby się raczej obawiać powstania gdzieś mariawityzmu *czwartego*.

Nasze wysiłki od początku biegły w kierunku zbliżenia istniejących odłamów mariawityzmu, a nie tworzenia nowych rozłamów, które mogą przynieść mariawityzmowi tylko straty. Cieszymy się więc ze wszelkich „międzymariawickich” spotkań i wizyt. Chcielibyśmy, aby było ich jak najwięcej i aby prowadziły do jak najbliższej współpracy wszystkich trzech kościołów. Rozdziela je struktura, prawo kościelne i sformułowania doktrynalne, ale jednak łączy to co najważniejsze - szacunek do Objawień Dzieła Miłosierdzia Bożego, pragnienie wcielania ich w życie oraz miłość do tej, która nam je przekazała - naszej Mateczki. Podobnie pragniemy jak największego zbliżenia pomiędzy kościołami mariawickimi, a innymi wyznaniem chrześcijańskimi, aby można było szerzyć bez przeszkód wieść o Dziale Bożym wśród wszystkich chrześcijan, dla całego świata. Słowem zgromadzenie nasze było od początku z gruntu ekumeniczne i nigdy sobie nie usiłowało przywłaszczyć kompetencji Kościoła. Owszem, jako Zgromadzenie, oprócz modlitwy i wzajemnej pomocy w rozwoju duchowym, staramy się dotrzeć do wszystkich z wieścią o Dziale Miłosierdzia, ale nie miało to nigdy niczego wspólnego z chęcią oderwania kogokolwiek od jego macierzystego Kościoła. Przeciwnie, nie przyjmujemy do Zgromadzenia osób nie należących do żadnego wyznania.

Jednak szeptane plotki o naszym odrębnym mariawityzmie były na tyle głośnie, że docierały czasem do osób postronnych.

I otóż drugiego roku istnienia naszej gałęzi Zgromadzenia otrzymaliśmy wspólny list od kilku duchownych. W liście deklarowali, wielkie zainteresowanie mariawityzmem, pragnienie pogłębienia wewnętrznego życia duchowego i zgłaszali prośbę o przyjęcie pod jurysdykcję Zgromadzenia. Co do przyjęcia pod jurysdykcję odesłaliśmy ich zgodnie z kompetencjami do jednego z kościołów mariawickich przesyłając im do wyboru adresy ich central, natomiast co do pogłębiania życia duchowego - poprosiliśmy o dokładniejsze wyjaśnienie czego by się od nas spodziewali. Nie odpisali. Mieliśmy się możliwość dowiedzieć, że była to grupa kapłanów - „wolnych strzelców”, którzy poszukiwali jakiegokolwiek niszy życiowej dla swojego powołania. Idee mariawickie jako takie raczej ich nie interesowały. Nie wiem, co się z nimi dalej stało.

Kiedyś wpłynął do nas list od pojedynczego księdza z prośbą o przyjęcie do Zgromadzenia. Nadawca miał adres zbliżony do adresu jednej z mariawickich placówek. Korespondencję akurat załatwił brat, który nie znał dobrze nazwisk kapłanów mariawickich i zmylony adresem wziął autora listu za jednego z nich. Odpowiedział mu więc serdecznie, że oczywiście chętnie go do Zgromadzenia przyjmujemy przy wypełnieniu warunków przepisanych Ustawami i zwyczajami. Mnie wypadło porozmawiać z „kandydatem”. Był to kapłan jednego z wyznań katolickich zasuspendowany za pijaństwo. Zostałem go nad kieliszkiem popijającego wódkę sokiem pomidorowym. Usiłował serdecznie i mnie tym poczęstować. Szło mu oczywiście nie o

życie zakonne ale o jakąkolwiek jurysdykcję. Nie wiem zresztą co by mu z niej przyszło, bo wyglądał na człowieka w zaawansowanym stadium alkoholizmu. Wyjaśniłem mu, że do Zgromadzenia mógłby być ewentualnie przyjęty po wyleczeniu się z nałogu, zaś nasza oddzielna jurysdykcja kościelna nie istnieje.

Podobne choć bardziej otwarcie wyrażane prośby - tylko o jurysdykcję, otrzymywaliśmy jeszcze parokrotnie w pierwszych latach naszego istnienia. Teraz się już nie zdarzają. Zrozumiano czym jesteśmy.

Brat Paweł

=====

PRACA nad sobą - aperiodyk mariawicki. Ukazuje się na prawach rękopisu. Wydaje: Zgromadzenie Mariawitów. Redaguje: kolegium. Redaktor wykonawczy: brat M. Paweł Rudnicki. Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Adres redakcji i administracji: ul.Św. Sebastiana 10 m. 14 - 31-049 Kraków. „Prenumerata” (zwrot kosztów powielania i kosztów przesyłki pocztowej w kraju) obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty wynosi 12 zł. Należność należy przysyłać *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (po 1 zł. lub mniej) podając dokładny adres nadawcy. Można też „prenumeratę” opłacić osobiście w redakcji.. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu trzech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, powielania, lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Wysokość prenumeraty zagranicznej zależy od kraju i żądanego sposobu przesyłania (poczta zwykła lub lotnicza) - podajemy indywidualnie na zapytanie. Osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.